



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Do pow. „Stefek Luty w Brazylii.”



Rys. Wł. Jasieński.

...Przed nim stał Indyanin, ubrany w czerwoną spódniczkę, czerwone i żółte pióra sterczały mu nad głową.

— Stefek! nie poznajesz mnie? — zawołał najczystsza polszczyzną. (Rozdział V.)

O MIŁOSIERDZIU BOŻEM.

Z nauk ks. Gralewskiego.

I.

Nie potrzebuję wam mówić, moje dzieci, gdyż dobrze o tem wiecie, jaki jest cel waszego zbierania się na rekolekcye. Pan Bóg gotuje wam wielką łaskę, wielkie dobrodziejstwo. Macie się z Nim pojednać, macie oczyścić dusze wasze, dostąpić przebaczenia waszych grzechów. Patrzcie, jak Bóg was kocha, jak serdecznie troszczy się o was. Słyszeliście pewno kiedy, że Bóg porównywa siebie do pasterza. A cóż to pasterz robi? Widziałyście, z jaką to troskliwością ochrania swoje owce, jak je strzeże przed niebezpieczeństwem, wybiera pastwiska, obmyśla pokarm, ciepłe mieszkanie, spędza owieczki pod dach... słowem, jak bardzo jest o nie troskliwy. Otóż, jak pasterz dobrym jest i troskliwym dla owiec, tak też dobrym, troskliwym i miłosiernym jest Pan Bóg dla grzeszników. „Jam jest pasterz dobry, znam owce moje i one mnie znają,” — mówił Pan Jezus.

Wiecie, drogie dzieci, z katechizmu, kto to jest Bóg uczyliście się także o przymiotach Pana Boga! mądrości wszechmocności, świętości, sprawiedliwości i t. d. Wiedzieć więc, że kiedy mowa o przymiotach Bożych, to chociaż one są wszystkie równe, wszystkie bez miary i końca, jednak w stosunku do nas największym się wydaje Jego miłosierdzie, bo jak mówi Pismo św: „Zmiłowanie Jego nad wszystkie dzieła Jego.”

Niepodobna wypowiedzieć, jak wielkie jest Jego miłosierdzie dla wszystkich, starszych i młodszych, a zwłaszcza dla dzieci. Pomówmy o tem, jak ono wygląda, a najpierw patrzmy, jakie to miłosierdzie w przyjęciu Pana Jezusa na ziemię. Bo pocóż On przyszedł? Sam On powiedział o sobie: „Przyszedł Syn Człowieczy szukać i zbawiać, co było zgineło.” I dla tego opuścił tryumfy i radości niebieskie, i przyszedł na ziemię, i żył na niej taki upokorzony, taki cierpiący, taki biedny. W stajni się urodził, w żłobku spoczywał, ucieka przed Herodem. A potem, w dalszym życiu nic innego, tylko trudy, umęczenie, boleść... wreszcie męka i śmierć okrutna!.. Tyle się naciерiał, nabołał... jeszcze Mu wżgardą za to zapłacili... On to wszystko zniósł, a zniósł chętnie... Poco? Bo On przyszedł „szukać i zbawiać.” Szukać tych, co zginęli, i zbawić... I po to też przyszedł, aby ciebie, dziecko, poszukać i zbawić. To też ciągle ta sprawa Go zajmuje, myśli o tobie, opiekuje się tobą, obmyśla wszystko dla ciebie. I cała ta opieka Boża nad tobą do tego zmierza, abyś ty był dobry, abyś nie grzeszył.

Różnych Bóg do tego sposobów używa. A najpierw Bóg dał ci rozum, wolę i serce, abyś Go rozumiał i słuchał i kochał, a nie tylko Jego samego, ale oraz i to wszystko, co od Niego pochodzi, co z Nim jest związane. A cóżes ty uczynił? Jaki pożytek odniosłeś z tych darów Bożych? Jakżeś ich używał? Czyś ty się starał poznawać, i kochać, i czynić to, co dobre, to, co Bogu się podoba? Nieprawda, tyś rozumu swego używał na złe... tyś się dopytywał ciekawie, i słuchał, i uczył rzeczy brzydkich, złych, grzesznych. A woli swej jak używałeś? Czyś zawsze słuchał tych, którzy ci miejsce Boga zastępują? Nie, tyś się niestety opierał, tyś przekraczał zakazy rodziców, opiekunów, przełożonych... A serce twoje? Czyś ty kochał to, co dobre, co piękne, miłe Bogu? Nie, tyś kochał złe, kochałeś nieposłuszeństwo, kłamstwo, próżniactwo... zamiast kochać to, co dobre, co z Bogiem jest. A wiedziałeś dobrze, co robisz, gdyż Pan Bóg na to, abyś ty sam rozumiał, że grzeszysz, że to a to rzeczywiście jest złe, niedobre, dał ci sumienie. Co to jest sumienie, pewno wiecie z katechizmu. To jest

głos wewnętrzny, który nas ostrzega przed grzechem, niepokoi po grzechu. Wszak pamiętasz, kiedyś co zbroił, to cię — niepokoiło, taki miałeś wstyd sam przed sobą, tak ci jakoś było niewesoło... śmiać się i rozmawiać chwilowo zapomniałeś... pewnie się bał... Kiedyś się znalazł sam jeden, kiedyś się w nocy przebudził... czuleś, jakby cię kto gonił, jakby ci wyrzucał to, coś zbroił... Co to był za głos? To głos sumienia. Ale nawet przed grzechem sumienie się odzywa. Przypomnij sobie, jak to chciałeś jakiegoś figla spletać, albo skłamać, albo oszukać, co cię wstrzymywało, odradzało... wahałeś się. Kto ci to dał? Bóg... Bóg tak dobry, że pilnuje grzeszników, aby nie grzeszyli a przez to nie ściągnęli na siebie kary. Wiedząc, dziecko że to wszystko, przed czem sumienie ostrzega, tego robić nie można, to jest grzech.

Idźmy dalej. Czy opieka Boża na tem się kończy? O! nie, opieka ta rozmaicie się objawia nad wszystkimi ludźmi. W jaki sposób Pan Bóg jeszcze opiekuje się dziećmi? Dał im rodziców, a jeśli tych zabrakło, daje opiekunów; następnie daje przełożonych, nauczycieli, kapłanów, spowiedników. Opieka rodziców, zastępców Boga względem dzieci, polega na tem, że dzieci prowadzą do dobrego. Żeby wiedzieli, jak tego dokazać, dał im Bóg przykazania. Dał doświadczenie, a oni korzystają z tego, dając wskazówki, rady, upomnienia. W przykazaniach niema tego, kiedy masz iść spać, kiedy wstawać, uczyć się, jeść, bawić się i t. d.; rodzice ci to mówią. Kogoż oni wyręczają w tych drobiazgowych przepisach? Oto Pana Boga. Tak jest, Bóg się nimi wyręcza i przez nich opiekuje się nie tylko twoim ciałem, ale i twoją duszą, umysłem, charakterem. Opieka rodziców zastępuje opiekę Bożą.

Oprócz rodziców, masz jeszcze inne osoby, zastępujące ci Pana Boga. Czego rodzice nie mogą wykonać sami, powierzają to innym ludziom. Macie więc nauczycieli, przełożonych: ci opiekują się wami w szkole, kiedy rodziców przy was niema, tam pilnują waszego porządku, tam strzegą waszego zachowania. I znowu tu opieka Boża występuje w osobach przełożonych.

Dalej — rodzice nie wszystkie przysługi mogą wam oddać. Nie mogą wam dawać duchownych posług, nie mogą udzielać Sakramentów... więc znowu część swej władzy nad wami zlewają na kapłanów. Słowem, widzicie, że Bóg ojcostwo swoje przelewa na rodziców, a ci przelewają część praw swoich, zajmowanie się sprawami ciała i duszy dzieci, na innych ludzi. Nowy to dowód troskliwości Pana Boga o was... tak was hojnie zaopatrzył, aby pomnożyć wasz zasób wiedzy, nauki, przymiotów.

A czyż nie wiecie, że każdy ma swego Anioła Stróża, który się nim opiekuje, strzeże go, prowadzi, jak najlepszy przyjaciel? „Spracowałem się, stojąc u wrót duszy jego,” — mówi twój Anioł Stróż; jakąż wdzięcznością Jemu i Bogu za Niego winien jesteś. „Aniołom Swoim rozkazał Bóg o tobie, aby cię strzegli we wszystkich drogach twoich,” — mówi Pismo św. Zastanów się tylko, moje dziecko, jak to troskliwie Bóg się tobą opiekuje. Wszystko, co ci się w życiu zdarzało, także jest dowodem Bożej dla ciebie dobroci. Widziałeś w życiu swoim różne chwile... i smutne i wesołe... To cię chwalono, nagradzano, dostarczano przyjemności... to znowu karcono, karano... Wszystko to, wierzaj, zmierzało do tego, żebyś ty był dobry. Poco cię chwala? Poco ci sprawiają jaką przyjemność? Aby cię zachęcić i nadal do takiego samego postępowania, jakie na cię pochwałę ściągnęło. Poco cię strofują, poco cię pozbawiają przyjemności, poco karzą za pewne postęпки? Żebyś już tego nie robił, żebyś miał wstręt do postępków, który strofowanie lub karę wywołał. Tem wszystkim Pan Bóg rządzi. Dobrocią usiłuje cię pociągnąć do dobrego; gniewem i karą — nawrócić, kiedyś zgrzeszył. Pan Bóg pragnie cię poprawić, sprostować, chce cię przynaglić do życia dobrego, pocziwego... bo ty chcesz postępować złe. A kto to jest ten Pan Bóg, który się tobą tak bardzo zajmuje i troszczy? Uczysz się katechizmu i umiesz pewno

odpowiedzieć: Pan Bóg jest Stworzyciel nieba i ziemi i najwyższy Pan wszystkich rzeczy; pomyśl sobie, dziecko drogie, co to za dobroć tego Boga, tak wielkiego, dla ciebie, takiego marnego!... Bóg — to istota najdoskonalsza, nieogarniona, niepojęta, sama w sobie wszystko znajdującą... Istota, która niczego od nikogo nie potrzebuje, której dziełem jest świat cały... z tobą, takim małym, takim niedobrym, grzesznym, chce się wdać, rozmawiać... niczego nie zaniedbuje, żeby ciebie ze złego zrobić dobrym. Jakież to dowód Jego dobroci!

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE

(Dalszy ciąg).

III.

Dzieciom ich pracę przerwało wydarzenie rzadkie i które je zawsze wstrząsało do głębi. Ojciec ich przyjechał niespodzianie. Pan Zabrzski nigdy naprzód nie uwiadamył o swem przybyciu, gdyż oczekiwania i myśl o wypadkach kolejowych zanadto denerwowały jego żonę. Gdy dzieci usłyszały z ust nadbiegającej pokojówki wyrazy: „Pan przyjechał,” zostawiły pannę Four na środku ścieżki, zdziwioną i napróżno pytającą, co się stało. Wszystkie, jak stado ptaków, frunęły ku domowi i wkrótce otoczyły ojca, który je witał i tulił do piersi, a nakoniec z niemi wszystkimi wtargnął do pokoju matki, która krzyknęła z radości. Byli wszyscy razem i na chwilę uczucie szczęścia udzieliło się nawet pani Zabrzskiej, której twarz zwykle smutną, opromieniał uśmiech i oczy, które zdawały się widzieć wokoło siebie same rzeczy smutne, błysnęły rozradowaniem. Jańcio znalazł się na kolanach ojca, na które sam się wdrapywał i uważał je za swoją własność; Zosia, stanąwszy za krzesłem, objęła szyję ojca ramieniem.

Pan Zabrzski kochał wszystkie swoje dzieci jednakowo, ale się bał, by pieszczoty nie popsuky chłopców i Alusi; Zosię zaś uważał za osobę dojrzałą i dorosłą, i tę pozwalał obsypywać siebie pieszczotami. Stąd wyrosło w rodzinie mniemanie, że Zosia była ukochaną córką pana Zabrzskiego. Żadne z dzieci nie zazdrościło jej jednak, bo Zosia była przez rodzeństwo uważana za coś wyższego i lepszego, co zasługiwało na wyjątkową miłość. Pan Zabrzski był Warszawianinem, wychowanym w Warszawie i to miasto wesołe, miłe i żywe, położyło na nim swe piętno. Lubił się śmiać, był z natury wesoły, miał zawsze jakiś koncept na ustach, był dowcipny i z upodobaniem powtarzał dowcipy innych. Po śmierci swych dzieci, przez dłuższy czas nie mógł odzyskać swej werwy, ale teraz, gdy widział wkoło siebie gromadkę ukochaną, a dość liczną, gdy żona jego powoli odzyskiwała zdrowie, jeżeli nie wesołość, powrócił do dawnego usposobienia i humoru. Tam gdzie on się znajdował, tam musiało być wesoło. Więc dzieci, kochając go jak ojca, przepadały za nim jeszcze jak za towarzyszem, z którym wybornie się bawiły. Jańcio tak wierzył, że ojciec dla własnej przyjemności podzielał ich rozrywki, że siedząc na kolanach ojca, rzekł do niego zaraz na wstępie:

— Tatusiu! tatusiu! pójdziemy koziołki wywracać na liściach.

— Na liściach!

— Tak, tak, na suchych liściach, nagrabilonych na kupki w ogrodzie. Moja kupka najmniejsza, ale Józiowa będzie dla tatusia doskonała!

— Eh, Jańciu, takie niedorzeczności wygadujesz — rzekła Zosia.

— Daj mu pokój, Zosiu — odparł ojciec — on widzi taką przyjemność w tego rodzaju gimnastyce, że chce, bym i ja zażył owej przyjemności. No, Jańciu, koziołków wywracać z chłopcami nie mogę, ale urządzimy sobie inne zabawy. W dni pogodne, będziemy odbywali różne wyprawy; w dnie deszczowe będą bale. Mama będzie grała na fortepianie, ja będę tańczył z panną Four, Zdzis z Zosią, Józio z Alusią, a Jańcio, z tą wielką lalką, którą Zosia zamyla do szafy, by jej dzieci nie popsuky.

— A pan profesor, pan profesor? — zawołał Jańcio.

Dzieci wybuchiły śmiechem na myśl, że pan Chlewiatko mógłby należeć do ich zabawy.

— Ciekawa jestem, czy on tańczył kiedy w życiu — rzekła Zosia.

— Zapytamy go dziś przy kolacyi. Czy to dziś na niego była kolej spaceru?

— Nie tatuńciu! dziś byliśmy w ogrodzie z panną Four.

— A gdzież w tej chwili może być pan profesor? Rad-bym dłoń jego uściśnąć.

Jańcio zerwał się z kolan ojca i nic nie mówiąc o swych zamiarach, wybiegł z pokoju. Lubił on bardzo wyręczać służącego w dzwonieniu na obiad, podwieczerek czy kolację, a rodzice nie sprzeciwiali się wcale temu, że Jańcio spełniał często obowiązki dzwonnika.

Zgromadzona w pokoju matki rodzina, usłyszała nagle odgłos dzwonka, a pani Zabrzka zdumiona, rzekła:

— Cóż to znowu? Dopiero wpół do czwartej, przecie to jeszcze nie czas na podwieczerek.

— Ach, to Jańcio — zawołała Alusia — on dzwoni na pana profesora. Tatuś chciał się z nim przywitać, więc Jańcio wymyślił sposób.

Wszystkie dzieci się śmiały, zaś pan Zabrzski, bardzo niezadowolony, wstał spiesźnie z krzesła.

— Nie można tak z pana profesora żartować — rzekł z niepokojem. — Jańcio zasługuje na karę za swój pomysł.

— Profesor się nie obrazi — upewniała Zosia. — On Jańciowi na wszystkie figle pozwala. Ale ten Jańcio! taki malec, a już spostrzegł, że profesor przez roztargnienie, gotów przyjść drugi raz na obiad.

— Muszę pana profesora za niemądry pomysł Jańcia przeprosić.

Pan Zabrzski szedł ku stołowemu pokojowi, a za nim wszystkie dzieci. Po chwili z przeciwnych drzwi ukazał się profesor. Był zamyślony, deklamował wiersze greckie, gdyż właśnie dzwonek Jańcia zastał go tłómaczącego Odyseę. Przybrany był dziwacznie, bo na stojącym kołnierzyku, przypięty był wykładany, a na surdut płócienny, który nakładał do pracy, przywdziana była kurtka z cienkiego sukna.

Wszyscy, nawet pan Zabrzski, wybuchiły śmiechem.

— Co, spóźniłem się na obiad? — zapytał profesor.

Nowy wybuch śmiechu.

— Kochany profesorze! chciałem pana powitać — odezwał się pan Zabrzski.

— Zdaje mi się, żeśmy sobie dzień dobry mówili przy śniadaniu — rzekł bardzo uprzejmie profesor, który w tej chwili znalazł w swej głowie wyborne wyrażenie polskie na wyraz grecki, którego przetłómaczenie było bardzo trudne.

— Profesorze kochany! — zawołał pan Zabrzski, biorąc go w objęcia. — Zdaje mi się, że będę musiał się panu przedstawić, jak człowiek, którego pan widzi po raz pierwszy. Pan mię poprostu nie poznaje.

Profesor oprzytomniał. Zrozumiał, że już było po obiedzie, że sam miał na długim kitlu białym czarną kurtkę i na szyi dwa kołnierzyki, jeden na drugim. Wkrótce jednak, ten szczęśliwie znaleziony wyraz polski, na przetłó-



Dawny zamek w Iłży. (str. 63).

maczenie wyrazu greckiego, znowu pomieszał szyki w jego rozumnej głowie. Pan Zabrzski chciał obejść gospodarstwo i po podwieczorku wybrał się pieszo na tę wycieczkę, wyprosiwszy u nauczycieli dla dzieci rekreacyą, z powodu przyjazdu ojca. Chciał by wszyscy mu towarzyszyli i matka i nauczyciele i dzieci, między którymi wielka radość powstała z tego projektu. Otoczyły ojca skacząc i klaszcząc w ręce. Panna Four odmówiła, oświadczając, że lubiła chodzić, ale tylko po trotuarze i że „chez nous à Paris,” trotuary na niektórych ulicach były niezmiernie szerokie. Profesor poszedł, ale wkrótce wpadł w zamyślenie i widocznie zupełnie nie wiedział gdzie się znajduje. Na gościńcu, który w poprzek przechodzono, by się dostać na pola, gdzie kopano kartofle, pan Zabrzski spostrzegł, że profesor kłania się jakiemuś przechodzącemu właścicielowi, z wyrazem ogromnego współczucia i jakby uszanowania.

(d. c. n.)

B. Dyakowski.

Węże.

III. Węże Olbrzymie.

Nasze węże nie odznaczają się ani wielkimi rozmiarami, ani wielką jadowitością. Co innego gatunki zwrotnikowe, przewyższające znacznie długością nawet węża Eskulapa, a jadowitością żmiję. Groźne to są istotnie stworzenia, ale jeszcze groźniej wyglądają w opowiadaniach krajowców oraz wielu podróżników europejskich. Wyrosły w nich one na bajeczne potwory, duszące swymi splotami słonia i tygrysy lub mordujące setki

ofiar jadłem swych zębów, oraz żywiące się trującymi roślinami, aby jad ich nabrał tem większej siły i tem pewniej zabijał ludzi i zwierzęta.

Bujna wyobraźnia i skłonność do przesady, właściwe ludom południowym, miały tam obszerne pole do popisu. Ale i wielu podróżników europejskich, przejętych chęcią imponowania widzianymi cudami, powtarzało te baśnie, nieraz powiększając je jeszcze i przyozdabiając własnymi dodatkami. Jedni opowiadali o węzach, których właściwie nigdy nawet nie widzieli, z konieczności więc musieli powtarzać to co słyszeli od krajowców, inni znów opisując gatunki istotnie widziane, ale z daleka, mimowoli wpadali w przesadę, wąż bowiem z powodu bardzo wysmukłej postaci, wydaje się zawsze dłuższym, niż jest w istocie.

Dopiero podróże, przedsięwzięte przez wykształconych podróżników, rozwiąły baśnie i wydobyły ukryte w nich jędro prawdy. Przyznając, iż wśród węży zwrotnikowych istnieją gatunki bardzo jadowite, wykazali oni jednak, że liczba ich nie jest tak rozpaczliwie wielką ani okazy ich nie dosięgają tak bajecznych ilości, jak podawali krajowcy. I wielkość olbrzymich węży zmalała również: żaden wiarogodny podróżnik nie znalazł wśród nich takich olbrzymów, jak ten 36 metrowy wąż, którego, według opowiadań Pliniusza, rzymski wódz Regulus musiał osaczać i rozstrzeliwać, niby jakąś twierdzę. Stwierdzili oni jednak istnienie ogromnych węży, mających przeszło 8 metrów długości, a grubością przewyższających udo dorosłego człowieka. Nie jest to wprawdzie owa przesada wielkości z fantastycznych baśni, w każdym atoli razie pozwala ona mówić z zupełną słusnością o węzach olbrzymich, chociaż w innem znaczeniu, niż dawniej.

Wszystkie węże olbrzymie należą do rodziny dusiciel, odznaczających się posiadaniem małych śladów tylnych kończyn w postaci niewielkich rogowych pazurków w tylnej części ciała. Ubarwienie ich jest zwykle piękne i wzorzyste, grubość i siła znaczne, ale żaden z nich nie posiada zębów jadowych. Z tego powodu mordują one zdobycz w sposób odmienny. Schwytaną ofiarę otaczają splo-

tami swego ciała i duszą ją w potężnym uścisku, miażdżąc i rozgniatając jej kości. Następnie ślinią ją obficie i, rozszerzając potwornie paszczę, połykają w całości.

Mogą one dusić w ten sposób i połykać dość duże zwierzęta, w każdym jednak razie nawet największy z tych węzów nie jest w stanie połknąć człowieka lub bawołu; co najwyżej mogą one podolać takim zwierzętom, jak sarna, ale i to przedstawia już dla nich pewną trudność. Przy tem nawet niewielką antylopę muszą one trawić kilka dni, stając się przez ten czas nadzwyczaj ociężałymi, sennymi i niezdolnymi do ruchu.

Dusiciele zamieszkują wyłącznie strefę gorącą: zarówno Starego jak i Nowego Świata. Jedne z nich chętnie przebywają w wodzie, inne nigdy nie wchodzi do niej; prawie wszystkie jednak trzymają się wilgotnych lasów i zarośli. Obyczajają mają przeważnie nocne: dzień zazwyczaj spędzają nieruchomo, wygrzewając się na słońcu lub ukrywając się gdzieś w gęstwinie, żerując zaś nocami. Są ociężałe, leniwe i apatyczne, jak większość węzów.

Istniejące gatunki węzów olbrzymich należą do dwu rodzin: pytonów i właściwych dusicieli czyli boa. Pierwsze zamieszkują wyłącznie Stary Świat, drugie-Nowy.

W Indiach Wschodnich i na wyspach sąsiednich najbardziej słyną dwa gatunki pytonów: pyton tygrysi, który otrzymał swą nazwę od żółto brązowego ubarwienia w ciemne prążki, jak u tygrysa; oraz pyton siatkowany barwy takiej samej, ale w czarną siatkę, zamiast prążków. Pierwszy z nich jest nieco mniejszy, średnia bowiem długość jego wynosi $3\frac{1}{2}$ metra (koło 6 łokci), największe zaś okazy osiągają wyjątkowo 6 metrów: podczas gdy wśród pytonów siatkowanych napotyka się nieraz osobniki $8\frac{1}{2}$ metrowe.

Oba te węże, pomimo swych, bądź co bądź, poważniejszych rozmiarów, karmią się przeważnie drobnymi kręgowcami; jedynie stare i dobrze rozrośnięte okazy polują na nieco większe stworzenia, jak np. sarny, a czasami nawet jelenie.

Krajowcy opowiadają mnóstwo historii o ich napadach na wielkie ssące zwierzęta oraz na ludzi. W historyach tych jest bardzo dużo przesady, nie można jednak zaprzeczyć, iż od czasu do czasu wypadki takie zdarzają się istotnie, zwłaszcza gdy wąż się broni, albo gdy z jakiegokolwiek powodu omyli się i wyobrazi sobie, że ma do czynienia ze słabszym wrogiem, niż jest w rzeczywistości. W każdym atoli razie nawet i wtedy niemożliwym jest, aby był on w stanie połknąć dorosłego człowieka, a tem bardziej bawołu, chociaż można nie wyjść żywym z jego uścisku.

Brehm przytacza następujący wypadek, który się przytrafił w ogrodzie w Londynie jednemu z dozorców, nazwiskiem Cop.

„Podawał on właśnie, jak to było we zwyczaju, kurę bardzo zgłodniałemu pytonowi, gdy wąż, rzucając się z żarłocznością na ptaka, chybił celu, złapał dozorcę za wielki palec lewej ręki i w mgnieniu oka owinął mu się naokoło ręki i szyi. Było to w okresie lenienia, kiedy rogówka węzów mięknie i gdy z tego powodu widzą one niewyraźnie; więc i wzmiankowany pyton nie mógł zapewne odróżnić ręki dozorcę od ofiarowanego mu pokarmu. W bliskości nie było nikogo; Cop jednak nie stracił przytomności i starał się schwycić drugą ręką głowę węża, żeby w ten sposób uwolnić się z jego uścisku. Ale pyton tak ją wsunął między skręty własnego ciała, iż wszelkie wysiłki dozorcę były dare-

mne. Rzucił się on wówczas na ziemię, mając nadzieję, iż tam będzie mu łatwiej walczyć z wężem; a jednocześnie zaczął wołać o pomoc. Na szczęście przybiegli dwaj inni dozorczy i po wielkich wysiłkach wyzwolili Cop'a z uścisku węża.

Gdyby jednak towarzysze Cop'a byli się spóźnili; biedak zginąłby może w objęciu pytona, jak to się przytrafia, bezwątpienia, od czasu do czasu niejednemu z Indusów, gdy który z nich napotka samotnie w lesie olbrzymiego dusiciela, a ten zechce zrobić z nim taką samą próbę, jak wspomniany pyton ze swym dozorcą. Nie można się więc dziwić, że olbrzymie pytony budzą grozę w krajowcach, i że ci w niektórych miejscowościach, oddają mu nawet cześć boską. Węże mają tam osobne świątynie i osobnych kapłanów, których obowiązkiem jest karmić je i pamiętać o ich wygodach.

Z afrykańskich pytonów zasługuje na uwagę Assala wąż bardzo często spotykany w menażeryach. Jest on mniejszy od obu poprzednich, rzadko bowiem przekracza 6 metrów długości; ubarwienie ma żółtawe, czarno siatkowane i czarno-brązową strzałkę na głowie.

Assala zamieszkuje zarośla i wysokie trawy w różnych miejscowościach Afryki. Żywi się głównie gryzoniami oraz ptakami kurowatymi, które latają gorzej od innych. Umie jednak w razie potrzeby zgnieść i połknąć psa, a nawet mniejsze antylopy. Na widok człowieka ucieka zwykle jak najszybciej. Szkodliwy jest zato z innego powodu: nocami odwiedza osady i wioski murzyńskie, dusząc ptastwo oraz inne zwierzęta domowe i niedomowe. Jak to dziwnie wygląda: wąż dusiciel, który miał połykać setkami ludzi, przestaje raptem, na kurach, kaczkach, kotach, szczurach i t. p. stworzeniach, naśladując pod tym względem nasze tchórze i kuny.

(d. c. n.)



Assala, połykający pentarkę.

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

Czyż to nie zaszczyt zasiadać przy stole z Brazylijczykiem, zwłaszcza gdy ma piękną brylantową spilkę w krawacie, kosztowne sygnety na palcach i tak długie nazwisko, że je spamiętać trudno — myślał Luty. Ponieważ zaś zaszczyt ten zawdzięczał Leonowi, więc chociaż raziły go nieprzyzwoite koncepty kolegi, starał się niewinniać towarzysza.

— Taki już widać zwyczaj w Bremie — mówił sam do siebie, zamierzając przytem wyrwać Leona z zepsutego miasta i zabrać do Ameryki. Okręt, wiozący emigrantów, odpływał nazajutrz, a nasz bohater nie wiedział jeszcze, że to nazajutrz bywa czasem tak niespodziewane, że ukrywa w sobie tak straszne wypadki.

Głowa Stefka swobodna od złych przeczuć i wróżb, pełna była wesołych myśli. Wypił już jeden kieliszek grogu, bo trudno odmawiać, kiedy nalewają, wypił drugi i stał się nagle bardzo rozmowny. Próbował nawet śpiewać niemiecką piosenkę, ale przerwał ją i zpoważniał, gdyż przypomniał sobie, że on to był wciąż częstowany, a nie posiadając pieniędzy, nie mógł sam postawić nawet piwa.

— Obiecywałeś mi zarobek — mówił do Leona — jutro już odpływamy. Kiedyż się panom wywdzięczę za poczęstunek?

— Poczęstunek furda. — Nie taki to traktament stawia się dobremu koledze. Ze szczerego serca funduję. Ode mnie przyjąć możesz, chyba z panem Jos.. — poprawił się — z don Jose de Fernambo-Patamos będziesz robił ceregiele.

— Ale cóż znowu! — okrzyknął się Brazylijczyk — Proszę, bardzo proszę. Zadzwonimy na gospodarza, niech nam przyniesie butelkę madery. Płynie we mnie krew południowa, więc pozwólcie, że uczęstuję was hiszpańskiem winkiem. Kawaler polaco spróbuje.

Usłużny Niemiec przyniósł sam butelkę, nalał kieliszki i nie wyszedł już z pokoju. Pił razem ze swymi gośćmi. Zdawało się Lutemu, że Brazylijczyk daje towarzyszom jakieś tajemne znaki, ale pewnie się mylił, bo przecież pan Jose mówił przed chwilą, że po raz pierwszy zaszedł dziś do szynku, a z Leonem zrobił przy Stefku znajomość.

— Per mil diablos! gdzie mogłem zgubić klucz od domu — zawołał nagle Brazylijczyk, zrywając się z krzesła i szukając niespokojnie w kieszeniach paltota. — Klucz, panowie, klucz, szukajcie czy nie wypadł czasem pod stół. Nie ma go? A to zdarzenie. Diablos, diablos, muszę przecież wracać do domu, a klucz zniknął jak kamfora.

Biesiadnicy zerwali się od stołu. Leon przeszukał własne kieszenie, sądząc, że przez omyłkę schował klucz sąsiada. Wszystko na próżno. W Bremie, jak i w innych niemieckich miastach, lokatorowie noszą przy sobie klucz od domu. Niema tam stróżów dla otwierania drzwi, każdy o swoim kluczu pamiętać musi, albo spędza noc pod gołym niebem.

Stefek szukał najgorliwiej i okazywał wielkie współczucie dla poszkodowanego.

— Gdybym miał narzędzia otworzyłbym panu drzwi, od tego przecie jestem ślusarzem.

— Doprawdy, potrafiłbyś amico? — wołał ucieszony Brazylijczyk. Ale ostrzegam, że zamek jest mocny, niełatwa z nim będzie sprawa.

— Furda zamki! otwierało się już i kasy. Czeladnik

Jana Kolarza potrafi więcej niż niejeden majster, chwalił się Stefek, któremu szumiały w głowie grog, madera i piwo.

— Pokaż więc swoją sztukę panie Polaku, ja ci w tem dopomogę, bo właśnie zgubił ktoś w moim szynku wytrychy, a dłuto, pilnik, czy jakie tam zresztą potrzebne żelazto znajdzie się zawsze u porządnego szynkarza — mówił Szwarc i wyjął z kieszeni pęk kluczy związanych rzemieniem.

Stefek obejrzał wytrychy, pokiwał głową, cmoknął z zadowolenia jak znawca podziwiający doskonałość narzędzia i w chwilę potem szedł już wraz z trzema współbiesiadnikami przez cuchnącą uliczkę przedmieścia. Dziwiła Lutego usłużność szynkarza, który towarzyszył gościom.

— O wytrychy się boi, przecież ich nie zabiorę do Ameryki — mruknął Stefan, idąc obok Leona, choć nogi odmawiały mu posłuszeństwa, a gwiazdy na pogodnym niebie zdawały się kręcić w szalonym, wirowatym biegu.

To nie gwiazdy, to grog, piwo i madera tańczyły w mózgu Stefka, bo z niebieskiego stropu płynęła ku ziemi uroczysta cisza. Cisza ta była tem zupełniejszą im bardziej czterej biesiadnicy oddalali się od nadrzecznego przedmieścia. W głębi starej Bremy, na rynku zwłaszcza żaden szmer nie przerywał uroczystego spokoju nocy. Od wysokich kamienic, od starych świątyń i pomników szły tajemnicze szepty. Murowane olbrzymy opowiadały sobie może dzieje swych narodzin, kiedy to przed wiekami odważni rybacy budowali pierwsze chaty nad Wezerą. A na tle gwiaździstej nocy rycerz Roland zmartwychwstał w całym majestacie. Zdawał się dumnie potrząsać mieczem, przypominając ludziom, że cześć nieskalana to najcenniejsze dobro człowieka.

Ruch i świeże powietrze otrzeźwiły Stefka. Szumiało mu jeszcze w głowie ale zdawał już sobie sprawę z tego gdzie jest i dokąd idzie. Spojrzał przytomniej na otaczające go gmachy starego rynku. Roland, którego widział już w dzień, wydał mu się teraz wyższym, potężniejszym.

Wskazywał-że on mieczem jakieś dalekie, niedosięgłe szlaki? Groził, czy może przestrzegał? Dla czego groził? Toż Stefek nie chciał nikomu zrobić krzywdy. Ani Stefek ani tamci.

Tamci? — Lutemu przypomniawszy się Wagrowiec. Wszakże tak nazywał swoich towarzyszy, a właśnie jeden z nich, Leon był z nim.

Leon dawniej namawiał go zawsze do złego, czyżby i dziś... Spostrzegł, że Ziemniak daje znów Brazylijczykowi jakiś tajemniczy znak. Znali się więc? Dlaczego grali komedye przed nim, przed Stefankiem?..

Uczuł dreszcz, coś targnęło się w jego duszy, wstrząsło nim. Byłoby to ostrzeżenie?

Spojrzał badawczo na swych towarzyszy, wydali mu się skurczeni, nędzni, jak gdyby czający się i unikający światła latarni.

— Co to wszystko ma znaczyć? — myślał Stefan. Chciał pytać Leona, ale tymczasem Brazylijczyk stanął już przed narożną kamienicą. Zwrócił się do Lutego z żądaniem otworzenia drzwi.

Toż Stefek po to tu przyszedł. Prawda, a jakoś niechętnie brał wytrychy do ręki i oglądał zamek. Zamek był trudny, raz tylko widział podobny w Wagrowcu. Obudziła się w Lutym ambicja dobrego rzemieślnika. Już nie myślał o niczem tylko przymierał wytrych, skrobał pilnikiem żelazo, dobierał, próbował. Wytrych okazał się wyśmienitym narzędziem. Nie mieli takich u Kolarza. Zamek był przecież sztuczny, mocny, a jednak rygiel ustąpił po kilku próbach. Stefek z uczuciem zadowolenia otworzył drzwi przed właścicielem lokalu.

— Muchas gracias, bardzo dziękuję! — zawołał Brazylijczyk — dobry z pana ślusarz, ale dobre też będzie wino, którem wypijemy zdrowie takiego majstra. Proszę panów na górę, wytrych przyda się jeszcze, bo zgubiłem wszystkie klucze i przyjdzie pewnie otwierać inne zamki.

Weszli więc wszyscy czterej do sieni. Szynkarz przymknął starannie drzwi wchodowe spojrzawszy w przód badawczo na rynek, jakby w obawie czy godni kompaniowie nie są śledzeni. Leon zapalił latarkę, którą wyjął z kieszeni paltota.

— Miał z sobą latarkę — pomyślał zupełnie już wytrzeźwiał Stefek. Dziwiła go przezorność Ziemiaka, ale szli inni na górę, szedł więc i on.

Szczególny to był dom. Nikt w nim chyba nie mieszkał, taka tu panowała cisza. Nikogo nie dziwiło wtargnięcie nocnych gości. Minęli oni już kilkoro żelaznych drzwi. Nad każdą widniał napis „kantor” z dodatkami nazwiska firmy, której interesy bywały tu załatwiane. Brazylijczyk szedł pierwszy.

— Będzie pan miał znów robotę — powiedział do Stefka, biorąc go przyjaźnie, ale silną dłoń pod rękę i stając przed żelaznymi drzwiami w głębi korytarza. — Musimy i te otworzyć, bo od tych także zgubiłem klucz.

Stefek spojrział niespokojnie na mniemanego Brazylijczyka.

— Pan tu mieszka? — zapytał zdziwiony. Widział przy świetle latarki, którą podniósł Leon, że nad drzwiami stało wypisane „Johann O' Clear i Spółka.”

— Toż mówię, że tu. Czyż warto marudzić kiedy za temi drzwiami czeka nas lepsze od madery winko, winko jakiego nie piłeś nigdy amico polaco. Prędko tylko do roboty, bo czas upływa — wołał niecierpliwie don Jose.

Stefek obejrzał się na Leona. Chciał może pytać o radę, lecz Leon odwrócił głowę, udając, że ma coś do powiedzenia Szwarcowi.

Sięgnął więc Luty po wytrych, lecz robotą nie szła mu tak raźnie, jak wprzód. Niepokój paraliżował rękę ślusarza.

— Co to wszystko miało znaczyć? Dla czego ten napis nad drzwiami? Kto byli owi jego znajomi. Czemu Leon nie odzywał się do niego wcale i zdawał się nawet unikać wzroku dawnego towarzysza?

Takie pytanie zadawał sobie Stefan ale tymczasem wytrych uwiązał już w zamku. Zdolny ślusarz trafił od razu na właściwe narzędzie, zamek zgrzytnął, żelazne drzwi skrzypnęły na zardzewiałych zawiasach. Luty popchnięty silnem ramięm Brazylijczyka znalazł się w dużym sklepionym pokoju.

Ale pokój ten był znów także tylko kantorem. Nie mieszkał w nim nikt. Pod szszarzałemi od kurzu ścianami stały wysokie czarne biura, z rozłożonemi na nich księgami. W drewnianych kałamarzach sterczały pióra, a świeże plamy atramentu i wypalona nafta w lampie świadczyły, że pisał tu ktoś wczoraj, może nawet dzisiaj jeszcze?

— Teraz otworzysz jeszcze ten zamek. Będzie to prawdziwy majstersztyk, bo jest on sztuczny i mocny — powiedział don José, wskazując na żelazną skrzynię, która zajmowała prawy kąt kantoru a była śrubami przymocowana do podłogi.

Stefek oślupiał. Zaczynał rozumieć, że padł ofiarą podejścia. Czego jednak chcieli od niego ci ludzie? Czemu Leon tak drży? a szynkarz stanął we drzwiach wchodowych, zagradzając sobą przejście? Dlaczego człowiek o oliwkowej cerze mówił do niego rozkazującym tonem?

W jaką on wdał się robotę? Do jakiego dzieła przykłada rękę? Może do zbrodni?

Zadrzał. Teraz dopiero stało mu się jasnym, że to czego żądano od niego było grzechem, było złem.

Nie wątpił już. Czyż tak wyglądają uczciwi ludzie, jak wyglądał w tej chwili skurczony i drżący Leon. A czy tamtych dwóch, to oczy dzikich kotów. Dojrzały zdobyc i chcą się na nią rzucić.

I on, on Stefan Luty, ma pomagać zbójcom? Nigdy! choćby go zabić chcieli.

— Schnell, zum Teufel, krzyczał mniemany don Jose, nie siląc się już na hiszpańskie zaklęcia.

— Nie otworzę skrzyni, bo nie wiem, kto jesteście i czego odemnie żądacie — odpowiedział Stefan z niezwykłą na swój wiek stanowczością.

— Nie otworzysz? — syknął Brazylijczyk, ściskając rękę ślusarza w żelaznej swojej dłoni.

— Puść go! już on zrobi co ja zechcę — wtrącił się do rozmowy Szwarc i podniósłszy do góry latarkę spojrzął na chłopca.

Stefkowi krew zastygła w żyłach. Czuł się zgubionym. Tak patrzeć może tylko gad, którego ukąszenie zabija.

A jednak nie pomoże tym ludziom. Zginie a nie może. Może mu się uda uciec? Uciec jak? We drzwiach wchodowych stoi przecież Leon. Stoi i odwraca głowę. Judasz zdrajca zaprzedał towarzysza.

Były jednak drzwi drugie, prowadzące w głąb mieszkania. Skoczył ku nim, ale Jose schwycił go za ramię.

— Stój, nie bądź głupi. Tam nie ma nikogo nikt ci nie przyjdzie z pomocą, zginiesz jak ruda mysz. Mam rewolwer i nóż, mógłbym cię zabić a ja ci mówię po dobru, nie bądź głupi otwórz skrzynię. W skrzyni są pieniądze, złoto, słyszysz? Złoto. Podzielimy się niem. Dostaniesz dużo złota, będziesz miał za co pić przez całe życie. Otwieraj!

Stefan nie drgnął z miejsca. Zginie? Tak. Nie było dla niego ocalenia. Pewność śmierci wróciła chłopcu spokój. Poleciał duszę Bogu. Przemknęło mu przez głowę wspomnienie Wągrowca i nauk księdza proboszcza.

— Zginie, ale nie da się skusić — pomyślał, i już zamrużał oczy sądząc, że ostatnia chwila nadeszła, kiedy nagle obudził się w nim żal życia.

— Ratunku! — krzyknął z całych sił — ratunku, ratunku! — wołał, biegnąc w głąb kantoru.

Nikt go teraz nie trzymał, nikt nie zatykał mu ust! Rabusie wiedzieli, że mieszkanie jest próżne, nie obawiali się więc hałasu. Chcieli tylko skończyć z opornym chłopcem, bo czas naglił. Jasek wyjął nóż, a szynkarz chwycił za rewolwer ukryty pod paltotem.

Ale w tej samej chwili stanął we drzwiach przyległego pokoju wysoki i silnie zbudowany mężczyzna. On także miał w ręku rewolwer.

— Ratunku, panie! — krzyknął Stefek, przypadając do nóg nieznanego. — Oni chcą cię okraść a mnie zabić! — wołał wskazując na trzech rabusiów. Nim jednak zdolał wymówić ostatnie słowo, leżał już na ziemi, brocząc krwią.

Koniec części I ej.

Dawny zamek w Iłży.

Zwiedzając gubernię radomską, należy zatrzymać się w mieście powiatowem Iłży, malowniczo położonem nad rzeką Iłżanką lub Białką. Uderzają tam w oczy przybysza na wyniosłej górze ruiny dawnego zamku, z którego pozostała część baszty. Stara to bowiem osada, Iłża; należała ongi do biskupów krakowskich, już w 1241 i 1260 r. ucierpiała wiele od napadu Tatarów.

Główną ozdobą Iłży był ów zamek, jeden z najpiękniejszych w kraju, a jak wyglądał w XVII w. świadczy ryцина z roku 1655, którą podajemy.

Dawnym zabytkiem tego miasteczka jest także kościół parafialny, zbudowany około 1480 r. przez proboszcza miejscowego Stanisława z Wajszyc.

Rozwiązanie łamigłówek z N-u 5.

„CZARNI I BIALI.”



Najmniejszą liczbą, przy której użyciu można w sześciu losowaniach usunąć z koła pięciu czarnych chłopców i jednego białego, lub pięciu białych i jednego czarnego — jest siedm. Rachowanie należy rozpocząć od jednego z dwóch czarnych lub dwóch białych, krańcowych, stojących przy sobie, bądź w górze, bądź w dole. Jeżeli rozpoczniemy rachowanie od którego z tych dwóch czarnych, to trzeba postępować w kierunku białych i wówczas wylosuje się pięciu białych i jeden czarny. Jeżeli zaś rozpoczniemy rachowanie od jednego z tych

dwóch białych, to trzeba iść w kierunku czarnych i wówczas wylosuje się pięciu czarnych i jeden biały. Rozpoczynając rachowanie od innych chłopców lub wybierając inną liczbę, mniejszą od siedmiu — wylosujemy zawsze w sześciu losowaniach bądź 2 czarnych i 4 białych, bądź trzech i trzech.

To też ci co wybrali liczby mniejsze od siódemki, a mianowicie 2: Zosia N., Jadzia Rzeczycka Różycka z Czernihowa, Dudek z Łodzi, Kocia, Grażyna, Wieczorny Mrok — 3 — Dziunia Prażmowska, Irenka z Niemenka, Wiosenka ze Złotej, i Waław Strzyżewski, — 4 — Dzika Litwinka i 6 — Jan Weyssenhoff, Wańdzia i Halina Filipkowskie zrobili omyłki w rachowaniu, co sami sprawdzą najlepiej. Dziunia Prażmowska swoje rozwiązanie skreśliła w zgrabnym wierszyku:

„Łamigłówka dosyć łatwa,
Choć pytanie nieco gmatwa,
Lecz trud taki bardzo miły,
Więc spróbuję sprytu siły.
Liczę zawsze od białego,
Co stoi obok czarnego:
Raz! dwa! trzy! czarny z koła
I tak ciągle dookoła.
Raz! dwa! trzy! kończy biały!
Już się losy wyczerpały,

I wszystko dobrze się składa,
Bo pięciu czarnych wypada,
Jeszcze jeden biały z brzegu
Za nimi staje w szeregu,
Zaś pierwszy czarny na straży,
Ruszyć się z miejsca nie waży
I pilnuje pozostałych,
Pięciu towarzyszy białych.
Łamigłówkę rozwiązana...
Czy książka będzie mi dana?”

— Tym razem — nie, z wyżej wymienionych powodów, ale to nie ostatnia łamigłówka ani zadanie do nagrody, które ogłaszają „Wieczory,” będzie ich jeszcze dużo.

Trafne rozwiązania z liczbą 7 nadesłali: Oleńka z Mozyrza, oraz Janka i Wanda Skoczyńskie, Janka Hemplówna, Przemysław Kamieński, Władysław Koronkiewicz, Zakłeta Królowna z nad Newy, Adam Paprocki, Lena z Marszałkowskiej, Jurek Juszyński, Janek Abramowicz, Maryan Bartosiński, Marta H., Bogusław Matulewicz, Dora Kostecka, Henryk Gromadzki, Jaśko Golański, Stefcia Peretjatkowiczówna, Maryjka Bykowska, J. Radwan, Jadzia Sołowiejczykówna, Koyot, Zagłoba, Mrówka, Andrzejek Oczkowski, Lucio, Wańdzia Lipińska, Ańdzia Wilczyńska, B. S. O., Genia Staszowska, Zosia Sielicka, Sokół z Warszawy, Stefcia Uderska, Burczymucha, Antolek Dygat, Częstochołwianka.

Wobec tak wielkiej ilości mających prawo do nagrody zamiast jednej obiecannej książki dajemy trzy i przyznajemy je przez losowanie. Napisaliśmy wyżej wyliczone nazwiska na karteczkach i wyciągnęliśmy: Jurka Juszyńskiego, Janka Abramowicza i Genię Staszowską. Pierwszym dwóm wyślemy „Trzydzieści lat wśród dzikich” pocztą, a Genię prosimy o pofatygowanie się po książkę do redakcji.

Dobre rozwiązania, ale z większymi liczbami: 8, 9, 10, 11 i 13 nadesłali: Michaś Lande, Sprawiedliwość, Władzio Szymański, Waław Skrzyński, Helenka Gutmanówna, Wańdzia Sokołowska, Winicyusz, Tomcio Stożkowski, Romcio Rygiel, Czarniecki, Perelka, Janka Miernicka, Hajduczek, H. Brun, Dzik, Złotowłosa, Stefan J., Czesław Skawiński, Janinka Cabertówna, Teef, Jerzy Malinowski, Wańdzia Leśnikówna, Mizuta Czyńska, Bohun S., Henneberżanka; Janinka Maliniakówna, J. Charczyk, Hela Rokosowska, Wiewiórka, Józia Askanasówna, Janinka Wojewódzka, Melcia Zarebska, Józef Żeligowski, Elutka Mierzwińska, Wacio Górski, Konwalia i Niezapominajka, Jadzia Norkowska, Kazio Wiemuth, Oleńka Wścibska, Stasia, Mania Kościakowskie, Jadwisia Garczyńska i Maruska z nad Wisły, Romcia Kosmulska, Goryczka, Bokser, Tuhaj-Bej, Kostus Rouba, Szara Muszelka, Rusalka, Irenka Koppanówna, Olezka Platerówna, Kazia Gruszkiewiczówna, Marysia Turnianka, I. Ch., Zyg. Szlichciński, E. Turkullówna, Zosia Stempniewska.

ZAGADKA.

Od Świtezianki, Wieszczyki, Rusalki i Lekcyi dla X. Michała R.

Cztery litery nazwę mą składają:
Państwa i ludy hołdy mi oddają,
Bo przed wiekami byłam ich królową,
A teraz jestem ich sercem i głową.
Wspak z mitologii rzymskiej bóstwo daję,
Co osobliwe miało obyczaje:
Zawsze swawolne i zawsze radosne,
W około siebie rozsiewało wiosnę,
A kiedy ludzi uszczęśliwić chciało,
Swą złotą strzałę w serca im wbijało.

ROZWIĄZANIA DO Nru 6-go.

Zagadki: Ka — ro — li — na.

Kalina — Nil — koral — lin — rak — arak — klon — lak — karo — Klara — Alina — król — kania.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: O miłosierdziu Bożem, z nauk ks. Gralewskiego. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Węże, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) — Dawny zamek w Ilży (z ryc.) — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno (z ryc.) — Gawęda z lalką (z ryc.) — Pogadanka naukowa. Światło. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Dworzanin królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

POSELSTWO Z KRAINY CZARÓW.

(Dalszy ciąg).

— Stasiu, co wy robicie? Czy to sobótką? — zawołała.

Chłopcy przerwali taniec, każdy wydobył z kieszeni książkę i podniósł ją w górę.

— Popalimy te stare, niemądre bajki — zaczął Staś — chyba, że przyrzeczesz nam...

— Palić książki! — powtórzyła Helusia, zdumiona i zgorzsona.

A zbliżywszy się do Stasia — krzyknęła:

— Stasiu! To moja książka z czarodziejskimi bajkami! Nie pal jej! Przecież to moja ulubiona książka.

— Spalimy wszystkie czarodziejskie książki, chyba, że nam przyrzeczesz uroczyście... — zaczął Staś.

Ale przerwała mu jedna ze starych kobiet, która pochwyciła go za ramię.

— Niegodziwy chłopczel! — zawołała. — Chcesz palić czarodziejskie bajki? Nie wiesz, na co się narażasz! Zamienię cię...

— Cicho! Siostró — przerwała druga staruszka, upuszczając trzymane zawiniątko. Nie w taki sposób!

— Staś nie jest wcale niegodziwy! — wtrąciła Helusia z oburzeniem. — On z pewnością nie spali mojej książki!

— Chciałbym, żeby panie poszły sobie! — zawołał Staś. — Nie, ta książka należy do mnie i do Helusi, wolno mi zrobić z nią, co mi się podoba.

I podniósł książkę do góry jakby ją chciał wrzucić w ogień.

— Tak! popalimy wszystkie bajki! — zawołał chłopiec z ogorzałą twarzą. — Nie cierpię czarodziejskich bajek i wszystkich bzdurstw!

— Waciu! oburzyła się Helusia.

Stare kobiety trzęsły się z gniewu.

— Niegodziwe dzieci! trzeba im dać naukę... — mówiła ta, która schwyła Stasia za rękę.

Druga usiłowała ją uspokoić, lecz na próżno. Rozgniewana wystąpiła naprzód i podniosła kij w górę.

— Niegodziwi chłopcy! Zabraniam wam palić książki z czarodziejskimi bajkami! — zawołała.

— Więc spalimy je, choćby na złość pani! — odpowiedział opryskliwie Wacio i rzucił książkę w ogień.

Helusia chciała go powstrzymać, lecz to jej się nie udało. Reszta chłopców byłaby może poszła za jego przykładem, gdyby nie to, że nagle pojawiła się na polance jakaś pani, której zbliżania się nie widziały dzieci

zajęte sprzeczką, lecz gdy Helusia ją spostrzegła, poskoczyła ku niej i zawołała z radością:

— Mama! Mama!

Chłopcy zaczęli chować książki, co nie uszło bystrych oczu przybyłej pani:

— Stasiu — zwróciła się do dowódcy. — Co ty robisz? Może byłeś niegrzeczny dla tych pań?

Zanim Staś zdążył odpowiedzieć, wymieniona starowina przemówiła:

— To są niegodziwe dzieci, zasługują na surową karę! zabierały się do palenia książek z czarodziejskimi bajkami.

Mama Helusi uśmiechnęła się i popatrzyła na Stasia.

— Nie przypuszczam, żeby chłopcy chcieli to naprawdę zrobić. Może tylko jeden chłopczyk chciał się sprzeciwić siostrzyczce, bo mu się zdaje, że ona zawiele czyta tych czarodziejskich bajek i groził, że je popali, tylko żartem.

— Naturalnie, mamo, że Staś nie myślał naprawdę tego zrobić — odpowiedziała Helusia. — On te powieści lubi, tak samo jak i ja.

— My wszyscy lubimy — odezwał się jeden z chłopców.

— I nie myśleliśmy je palić — dodał drugi.

— Ale jedna książka została spalona — przerwała Helusia.

— Była bardzo stara i podarta, tylko strzępy zostały — usprawiedliwiał się Wacio.



— Dziękuję ci, dziewczeczko, — rzekła wróżka Krętogłówka.

— I nie byłoby się to stało, gdyby nie... — chciał tłumaczyć się Staś, patrząc z niechęcią na nieznajome.

— Mam nadzieję, że dzieci nie były niegrzeczne dla pań? powtórzyła zapytanie mama Stasia.

— Byliśmy trochę... niegrzeczni — przerwał jeden z chłopców.

— Tak, trochę... — dodał Staś, i zwracając się do nieznajomych, zdjął kapelusz. — Przepraszam panie... obie paniel

Dziwna rzecz, że te słowa wzruszyły rozgniewaną staruszkę więcej jeszcze niż spalenie książki. Popatrzała na chłopca i przetrzała chustką oczy.

Reszta chłopców, za przykładem Stasia zaczęła także przeproszać.

— Niech nam panie przebaczą — przemówił jeden.

— Prawda, że byliśmy niegrzeczni — dodał drugi.

— Ale bo też i panie... — zaczął Wacio, ale umilkł na widok Stasia, który się na niego zmarszczył z gniewem.

— Bo panie nie wiedziały, że chłopcy sprzeciwiają się tylko — wyjaśniła uprzejmie Helusia.

Stare kobiety nie odrzekły nic; tylko ta, która przedtem była rozgniewana, rzekła do swej towarzyszki:

— Zabierz zawiniątko, i chodźmy do domu, Krętogłówko!

— Pomogę pani! — zawołała Helusia, zadziwiona tak niezwykłym imieniem towarzyszki.

Trzeba było pozbierać rzeczy rozsypane z zawiniątko, a były one jeszcze dziwniejsze od imienia. Para małych pantofelków, para ogromnych butów, stara czapka, peleryna i parę flaszeczek, Helusia nie mogła zrozumieć, na co to wszystko może być potrzebne.

Starowinki przypatrywały się jej, gdy zbierała rzeczy do zawiniątko, a chłopcy mocno zawstydzeni słuchali napomnień matki Stasia, która im wymawiała spalenie książki i sprzeciwianie się siostrzyczkom. Nakoniec zawiniątko zapakowano i wtedy jedna ze starowinek przemówiła:

— Dziękuję ci, moje dziecko, bardzo dziękuję! I cieszę się, że twoja matka tak w porę nadeszła, by przeszkodzić spaleniu książek. Mówiłaś, że to twoja matka, prawda?

— Tak, to mama, moja droga, kochana mama — odpowiedziała Helusia. — Ale nie moja własna, tylko druga żona tatusia. Ostrożnie, niech pani nie upuści zawiniątko.

I rzeczywiście, starowinka o mało co nie upuściła go na ziemię, tak była zadziwiona.

— Macocha! — powtórzyła, zwracając się do towarzyszki. — Słyszałaś Krętogłówko? — Macocha.

A tamta odpowiedziała:

— Chodź, Przekornatko, chodź.

I odeszły z bardzo zadziwionymi minami.

(d. c. n.)

Gawęda z lalką.

Chodź, lalusiu ukochana,
Chodź, maleńka, do swej mamy.
Ja cię wezmę na kolana;
Trochę z sobą pogadamy.

Wiesz, że ciebie kocham szczerze,
Wszystko, wszystko ci wyznaję,
Wszystko chętnie ci powierzę:
Czy mamusia mnie polaje,

Czy się gościom nie uklonię,
Czy się lekcy nie powiedzie,
Czym niegrzeczna jest w salonie,
Czy łakoma przy obiedzie.

Jaka to jest lalek mowa?
Jestem bardzo jej ciekawa,
Więc nie powiesz ani słowa?
I cóż z tobą za zabawa!

Choć uśmiechasz się tak ładnie,
Pytasz, jakbyś rozumiała,
Jednak milczysz; któż odgadnie,
Czy rozumiesz, lalko mała?

A! tyś pewnie takie dziecię,
Co nie może mówić jeszcze?
Lecz urośniesz. Ja cię przecie
Pielęgnuję, kocham, pieczę,

Jak mnie mama. A więc żywo,
Klęknij! Prośmy Boga w niebie:
Niech pociechę ma prawdziwą
Mama ze mnie, a ja z ciebie!

Janina Szląskowska.



POGADANKA NAUKOWA.

II.

Światło.



czoraj — zaczęła panna Jadwiga — mówiliśmy o cieple. Otóż ciepło jest zwykle towarzyszem światła. I o tem to światło chciałam wam kilka słów powiedzieć.

— Skąd mamy światło, Celinko?

— Od słońca, od księżyca...

— Tak, od gwiazd i od ognia.

— Od świec, od gazu, od elektryczności — pochwycił Adaś.

— Dobrze. Otóż zapamiętajcie, że światło idzie do nas zawsze w liniach prostych. Gdy rano przez otwór okiennicy wciska się światło, to widzimy smugę prostoliniową, a w niej mnóstwo pyłków kurzu.

Światło dzienne biegnie do nas z wysoka, od słońca.

Żeby przebiegła tak wielką, tak olbrzymią przestrzeń, jaka oddziela nas od słońca, musi zużyć na to pewien przeciąg czasu. Ale światło biegnie szybko. Żadna na świecie lokomotywa tak biedzby nie mogła. Gdyby można zbudować pociąg do słońca, to trzeba by tam z ziemi jechać paręset lat, a słońce drogę tę odbywa w ciągu ośmiu minut!

— Stasiu, podaj mi na chwilę lustro. Promienie słońca wpadają właśnie do pokoju. Na drodze tych promieni umieszczam zwierciadło. Cóż widzicie na ścianie?

— Światelko — zawołała Celinka — a jak ono wędruje po pokoju.

— Światelko to — rzekła panna Jadwiga — nie jest niczem innym jak także promieniami słońca, które odbijają się od lustra i padają na ścianę, jako świetlany krążek. Takie przedmioty, czyli — jak wam mówiłam — ciała, które odbijają wszystkie promienie światła, przedstawiają się nam jako białe. Dla tego to w lecie nosimy białe suknie, które jako odbijające promienie, mniej grzeją. Przeciwnie, suknie czarne, pochłaniają promienie światła i dlatego bardzo grzeją, choćby były zrobione z lekkiego materiału. Ciała, które zupełnie przepuszczają światło są przezroczyste np. szkło i woda.

Światło potrzebne jest do życia ludziom. Ludzie, którzy zmuszeni są mieszkać w półciemnych mieszkaniach, wyglądają zwykle bardzo nędźnie. Pokój dziecięcy zwykle bywa słoneczny, bo rodzice dbają o to, aby dzieci chowały się zdrowo i dobrze wyglądały.

Należy jednak pamiętać o tem, że zbyt rażące światło szkodzi bardzo na oczy. Nie należy nigdy książki trzymać tak, aby słońce padało na nią, ani pisać lub rysować na papierze w słońcu. Są nawet takie nierozsądne dzieci, które patrzą prosto w słońce. Jest to bardzo niebezpieczne. Znałam pewną dziewczynkę, która przyzwyczaiła się patrzeć otwartymi szeroko oczami na słońce. Gdy pewnego razu tak patrzyła, otoczyła ją nagle ciemność i odtąd nigdy już wzroku nie odzyskała. A wzrok jest to wielki, nieoceniony skarb. Ludzie mający wzrok niedobry, t. j. bardzo krótki, nazywają się krótkowidzami; ci znowu, co widzą tylko zdaleka, nazywają się dalekowidzami. I jedni i drudzy zmuszeni są używać szkieł: okularów albo binokli. Czy też dzieci pomyślały kiedy z czego to są zrobione okulary?

— No wiem — rzekł Staś — ze szkła.

— Ba! ale z jakiego? Otóż muszę wam powiedzieć, że można zrobić kawałek szkła, które jest wypukłe z obu stron. Takie wypukłe szkło nazywa się w nauce *soczewką* i ma tę własność, że powiększa przedmioty. Owalne szkiełka w okularach są właśnie cokolwiek wypukłe lub cokolwiek wklęsłe i one sprawiają, że krótkowidze i dalekowidze, mogą przy czytaniu trzymać książkę na takiej samej odległości, jak człowiek o dobrym wzroku, t. j. na odległość 9 cali.

Jeżeli pewną ilość soczewek ułożymy według pewnych prawideł, to otrzymamy bardzo znaczne powiększenie. Za pomocą tych soczewek zrobiony jest przyrząd, który tak bardzo lubicie: mikroskop.

— Ah! mikroskop! — zawołał Adaś. — To ta lupka co to z maleńkich muszek robi takie olbrzymie. Tatus ma ją u siebie w szafie i czasem pokazuje nam różne ciekawe rzeczy!

— Za pomocą soczewki robi się lornetki, latarnie, oraz wielkie lupy, których uczeni ludzie używają do badania bardzo odległych ciał. Z pomocą tych lup badają nawet gwiazdy i dostrzegają na nich takie szczegóły, jakich nigdy gołym okiem dostrzedzby nie można.

Światło, a szczególnie to piękne światło słoneczne, które spływa do nas ciepłymi promieniami, obejmuje naszą ziemię, ogrzewa ją i ożywia. Pomyślcie tylko, że bez słońca, bez tego światła i ciepła, nie mogłyby żyć rośliny. Gdyby nie było roślin, czyby mogły żyć zwierzęta? Przeciwnie, karmią się one roślinami.

— A te zwierzęta, co nie karmią się roślinami? — pochwycił Staś — te mogłyby żyć?

— Nie, bo one karmią się zwierzętami roślinożernymi. A gdyby nie było roślin i zwierząt, czy człowiek mógłby żyć na ziemi? Naturalnie, że nie.

Jakże więc dobroczynnem jest światło słońca, co utrzymuje życie na ziemi i po dłuższych pochmurnych dniach zimowych, z jaką radością witacie te ciepłe, złote promienie, co wpadają do waszego pokoju.

Zofia Kwiatkowska.

HOMONIM.

Zdobię ja wielkich, potężnych,
Co mają dużo oreźnych.
Częściej barwami jasnymi
Błyszczyć niziutko na ziemi,
Ale niestety niedługie
Jest to istnienie me drugie.

ŁAMIGŁÓWKA.

ul. Strumyk.

	*	1	*
*	*	2	*
*	*	3	*
*	*	4	*
*	*	5	*
*	*	6	*
*	*	7	*
*	*	8	*
*	*	9	*
*	*	10	*
*	*	11	*

Zastąpić gwiazdki literami i ułożyć wyrazy, aby litery oznaczone liczbami, złożyły nazwisko współczesnego powieściopisarza. Znaczenie wyrazów.
1) Owad. 2) Siedlisko greckich bożków. 3) Miasto we Włoszech. 4) Państwo w Europie. 5) Rodzaj lyżew. 6) Samogłoska. 7) Pierwszy poeta polski. 8) Okrzyk. 9) Ptak pływający. 10) Naczelnik Indian. 11) Wykrzyknik.

Sylaby: cya—cyk—da—i—ka—kan—limp—li—ne—pe—rej—sza—sa—ski—we—wat—wi—x—o'—nia.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 6-go.

Zagadki: K r e t.

Łamigłówny w kwadracie:

L	u	d	w	i	k
K	o	m	o	d	a
T	o	n	k	i	n
K	o	ł	d	r	a
M	a	d	r	y	t
A	s	s	u	a	n

Skrzynka do listów.

Romci Kos. Najchętniej zaliczymy cię do grona stałych korespondentek; o niechętnem odczytywaniu twoich listów mowy być nie może, bo do najwdzięczniejszych zatrudnień redakcyjnych należą te piśmienne z wami pogawędki, które są stałym pomiędzy nami łącznikiem. Dział ten prowadzi przeważnie *Jaskółka*, która w redakcyi listy do niej pisane odbiera i jak widzisz co tydzień odpisuje na nie.

Bogusławowi Horodyń. bardzo radzi jesteśmy, że losy „Stefka Lutego” tak żywo cię zajmują.

Szarej Muszelce. Konkurs na kaligrafię ogłosimy w następnym numerze, na rysunki zaś nie tak jeszcze prędko.

Józiewi C. Od wielu czytelników otrzymujemy listy, że „Pięciominutka” cieszy się wielkiem powodzeniem i daje pole do rozmaitych kombinacji.

Dobre rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali: Zosia F. z Łodzi, Grażyna, Jadwiga Garczyńska, Genio B., Czy tak?, Złota Litwinka, Terenia Kiełt, Rusalka, Mahega, Bokser, Śnieżek, Złota Różyczka, Tadzio Słupecki, Biały Gołąbek, Remis i Zosia Grocholscy, Rutka i Terenia Wilnerówny.

Stasi i Mani Kościół. Na wstępie naszego poznania zadziwię was może wiadomością, że choć nieznajome nie jesteście mi obce. Tak, słyszałam o was wiele, widziałam kilka waszych fotografii w różnym wieku, to też ucieszyłam się bardzo, żeście do mnie napisały i że odtąd będę miała od was samych częste wieści.

Białej Kotce. List twój wcale mnie nie znudził, ale nie-podobało mi się, że ty do nudów się przyznajesz. Wiesz przecie, że nuda to najgorsza nieprzyjaciółka, to siostra gnuśności i lenistwa, od której zdala należy się trzymać, a wziąwszy do pomocy naukę, robotki, ciekawą książkę, wreszcie jakieś zajęcie lub rozrywkę, odpędzać od siebie za góry i morza tak daleko, by już nigdy nie wróciła. Jeżeli chcesz pismo swe poprawić, tobym radziła pisać codziennie ćwiczenie kaligraficzne między dwiema liniami po liniach skośnych, starając się, by litery były równe, proste, i dość duże. Po pewnym czasie wyrobisz sobie porządne a nawet ładne pismo.

Hela D. w Liège. Zaraz po otrzymaniu twego listu wysłano „Wieczory” pod wskazanym adresem i odtąd je wprost tam posyłać będą. Wdzięczna za pamięć Janka i twoją, nawzajem pozdrawiam was serdecznie.

Małą Oleńkę bardzo kochać będę, za to, że choć jeszcze pisać nie umie, już chce się poznać z *Jaskółką*, i prosi mamę, by za nią kartkę skreśliła. Najpierw moja miła Oleńko podziękuj mamie za trud jej ładną kartkę, i prosz, żeby mi czasami o tobie i Zosi pisała, bo ja jestem bardzo ciekawa postępów moich czytelniczek i lubię wiedzieć, co je najwięcej zajmuje. Nie wątpię, że w krótko sama choćby ołówkiem do mnie napiszesz.

Dzielny Bokserze, dowcipnie przy rozwiązaniu łamigłówki, przedstawiłeś plac jako cyferblat zegaru, a chłopców jako godziny. Ale ja chciałabym się czegoś dowiedzieć więcej o waszej trójce, jakie macie imiona, w jakim jesteście wieku, jakie są ulubione wasze zajęcia i zabawy?

Janko i Wańdzio Skoczyń. przeczytawszy w liście waszym do redakcyi, że pragniecie ze mną się zapoznać, lecz nie wiecie, kto jestem, pospieszam się pierwsza przedstawić. Jestem zwykłą *Jaskółką*, z tą tylko różnicą, że przed zimą nie uciekam, nie boję się śniegu i śloty, bo pod strzechą rodzinną „Wieczorów” uwiłam sobie wygodne gniazdko. Nie boję się dni zimnych i bezsłonecznych, bo z listów mych młodych przyjaciół i przyjaciółek otrzymuje światło i ciepło, któremi nawzajem jak mogę i umiem pragnę je obdzielać. Wszak zechcecie spuścić jeden więcej promyczek do mego gniazdko?

Z tą samą prośbą zwracam się do *Goryczki*, do *Irenki z nad Niemenka*, do *Czarnuszki i Maruszki z nad Wisły*. Każda z nich obdarzyła mnie życzliwymi słówkami, przysyłając rozwiązanie łamigłówki.

Pensyonarze z nad Warty i Żabusi za ładne kartki dziękuję.

Twój smutny i rzewny wierszyk *Machego*, choć do druku się nie nadaje, ale świadczy, że masz usposobienie poetyczne i łatwość do pióra. Ale dlaczego poddajesz się takim smutnym myślom i nieokreślonej tęsknocie?

W twoim wieku, takie smutki bez powodu są niezrozumiałe a nawet szkodliwe. Żywosć, wesołosć, ruchliwosć winne być nieodłącznymi twymi towarzyszami, czekam więc weselszych listów takich, jakie dawniej pisywałeś.

Strumykowi. Słowo „ciocia” brzmi dla mnie mile, bo sama ciocią jestem i bardzo kocham swych siostrzeńców. Z dumą też i przyjemnością taką poważną „ciocię” do grona swych korespondentek zaliczam. Ze lubisz lato i jesień mój Strumyku to rzecz naturalna, bo zimą ostrym uściskiem bieg twój wstrzymuje, lodem ścina i przeszkadza płynąć według chęci. I ja lubię tę porę roku, kiedy:

„Po długiej dolinie tęskne tony cieką,
I słysząc piosenkę daleko, daleko.
Tam gdzie się obrócisz, nad Wisłą, nad Bugiem,
Brzmi nuta serdeczna za bydlęm, za pługiem,
Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju
Jakby jedna dusza była w całym kraju”

Wasza *Jaskółka*.

Wymiana ilustr. kart pocztowych.

Mieczysława Łaska (Częstochowa I Aleja) prosi o nadsyłanie ilustr. kart pocztowych, które wzamian przesyłać będzie.

Uwaga. Redakcja umieszcza bezpłatnie ogłoszenia swych prenumeratorów o wzajemnej wymianie ozdobnych kart poczt. za zezwoleniem ich rodziców lub opiekunów.

ZASŁUŻONA ODPOWIEDZ.

Kilku swawolników spotkało wieśniaczkę, która pędziła kilka osłów przed sobą.

— Dzień dobry, matko osłów — rzekli do niej.

— Dzień dobry, moje dzieci, odpowiedziała.

Nieprzyjacieli wody.

Maly Teos wpadł przypadkiem do sadzawki. Wyciągają zmoczonego malca, mama przybiega zaniepokojona, a on woła z radością; — Mamo, jak to dobrze! bo ja już jutro nie będę potrzebował myć się.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Wieczorów.”

Rys Geografii Królestwa Polskiego skreślił K. Krynicki. Warszawa 1902, nakład Gebethnera i Wolffa. z 215 rycinami 5 planami, 6 mapami i mapą król. Polskiego. str. 297.

Podręcznik do korespondencyi kupieckiej, w pięciu językach opr. Wł. Kocent Zieliński zeszyt I cena kop. 40.

Encyklopedyi Wychowawczej. Zeszyt 1-y tom VI.
Przewodnik Zdrowia. (dla dorosłych) zeszyt styczniowy r. b. wyd. A. Czarnowski, Berlin Karl. str. 32. cena 1 r. 50 k. za 12 zeszytów rocznie.

Wydawnictwa „księgarni polskiej”

I. Sikorskiej.

Król i Wójt. pow. hist. przez St. Gębarskiego.

O życiu i dziełach Adama Minkiewicza, przez K. Drzewieckiego kop. 15.

O testamentach p. L. Bobińskiego kop. 10.

Ze Srody do Soboty p. K. Krynickiego z mapką.